

Zanim wyruszymy

Należę do tej części społeczności, której jakiś czort każe poszukiwać czegoś poza bezpiecznym miejscem stałego przebywania. Do tego, jak sobie już coś wymyślę, to to coś pozostaje już w mojej głowie na stałe. Niektóre pomysły kotwiczą tam od niepamiętnych czasów. Mogą one zostać uwolnione jedynie przez REALIZACJĘ. Ten moment powoduje ulgę, ale i ciekawe uczucie niepewności, zmieszanej z olbrzymią radością. Od teraz w głowie dzieją się dziwne i nieodgadnione procesy fizykochemiczne. Ledwo mogę nad nimi zapanować, aby nie doprowadzić do wybuchu. Mam jednocześnie niezachwiane przekonanie, że REALIZACJA bezwzględnie się uda. Niewielkie wątpliwości występują jedynie w kwestii określenia czasu. Niektórych pomysłów mogę po prostu nie zdążyć zrealizować, ponieważ urodziłem się dosyć dawno.

Pierwsze dalsze podróże odbyłem na wyścigowym rowerze marki Huragan w celu randkowania z dziewczyną. Ja miałem lat 16, a Ona była oddalona o 80 kilometrów. Po spotkaniu wracałem do domu i co dziwne, nie byłem aż tak bardzo zmęczony. Spodobało mi się to pokonywanie dużych odległości i podziwianie widoków po obu stronach drogi. Odkryłem, że za każdym takim wyjazdem mój świat się znacznie rozszerza. Do tego na takie podróże nie musiałem wydać ani złotówki!

Okazało się również, że w sprawie nawadniania organizmu mam wytrzymałość wielbłąda, a energię potrzebną do wielogodzinnego pedałowania pobieram chyba z promieni słonecznych. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego jak tylko systematycznie ponawiać podróże.

Kilkudniowe, kilkusetkilometrowe wypadki połączone z noclegami pod namiotem potwierdziły moje możliwości. Mój najdłuższy rajd rowerowy miał 770 kilometrów. Pewnego pięknego dnia pokonałem jednym ciągiem 250 kilometrów z Ostrołki do Łodzi. Te bardziej ekstremalne wypadki nastąpiły dopiero w mocno dojrzałym wieku. Dopiero teraz byłem gotów do podjęcia jakiegoś wyjątkowego wyzwania. Ogólny plan przejechania przez Europę rowerem powstał 16 lat przed jego REALIZACJĄ, podczas kiwania nogami na dziobie

pewnego jachtu. Popijałem właśnie wino z metalowego kubka, w towarzystwie kolegi Pawła, podczas rejsu żeglarskiego w Chorwacji, gdzieś między Szybenikiem a Skradinem. Nie sądzę, abym przesadził w ilości trunku, ale nie mogę wykluczyć, że mogło to mieć jakieś niewielkie znaczenie.

Szczegóły zaczęły powstawać w chwili, kiedy poczułem powiew podróźniczej wolności, nieograniczonej pod względem czasowym. Ta wolność nosi nazwę: EMERYTURA. Od tego momentu rozpocząłem działania pod kątem gromadzenia środków finansowych i ustalania trasy. Początkowo zamierzałem pojechać pociągiem razem z rowerem i bagażami. Mimo sporych wysiłków skierowanych na skonstruowanie w miarę logicznej trasy kolejowej, plan całkowicie się zawalił. Powodem był brak porozumienia między rowerem a właścicielami różnych linii kolejowych. Okazało się, że rower nie zawsze jest mile widziany albo też obostrzenia dotyczące jego transportowania są zbyt uciążliwe. Próbowałem również drogoportacji autobusami rejsowymi, autokarami wycieczkowymi lub też nadania roweru przesyłką kurierską, a nawet ruszenia autostopem. Najprościej jednak wyglądał transport lotniczy. Ale mi wcale nie chodziło o to, aby było najprościej. Po drodze chciałem zaznać dodatkowych przygód, zwiedzić Paryż i Madryt. Jeszcze długo upierałem się przy transporcie lądowym. Po wielu miesiącach walki z biurami podróży, rozkładami jazdy i wymaganiami linii kolejowych – poddałem się. W końcu, któregoś dnia, kupiłem bilet linii TAP Portugal (portugalskie narodowe linie lotnicze) do Lizbony i w ten sposób etap ten został definitywnie zakończony.

Od tego momentu pozostały mi trzy miesiące do startu. Wyznaczyłem go na 10 maja. Tak rozpoczęła się REALIZACJA wyprawy.

Teraz wszystkie działania zostały skierowane w jednym kierunku. Najpierw zakupiłem mapy na całą trasę i pociąłem je na potrzebne mi kawałki. Planowana marszruta przebiegać miała przez 13 państw. Nie było potrzeby wozić całych, kompletnych map z uwagi na ich ciężar i skromną ilość miejsca do przechowywania. Tam, gdzie było to możliwe, prześledziłem całą drogę przejazdu w Google Maps. Wykonałem szczegółowe opisy poszczególnych odcinków, oddzielnie na każdy dzień. Zaplanowałem czas przejazdu na 70 dni. Obliczyłem dystans

do pokonania i wyszło mi około 5000 kilometrów. Średnio dziennie wypadło ich ponad 71. Przyjąłem, że powinienem dać radę. Tyle że na płaskiej mapie drogowej nie widać wzniesień i gór. A drogę wybrałem przez Pireneje i Alpy.

Dzień pierwszy, 10 maja

Lizbona

Rower został częściowo rozłożony, aby zmieścić się do kartonu 150×95×25 cm. Doładowałem jeszcze do niego worek namiotowy i worek śpiworowy. W workach znajdowały się różne, inne rzeczy, ale dla ułatwienia tak zostały nazwane. Do drugiego kartonu o wymiarach 50×40×33 cm weszły zapakowane po brzegi sakwy. Te wymiary mają istotne znaczenie dla linii lotniczych.

Start ma nastąpić o godzinie 17.20. Kolega Jarek wraz z moją córką Asią przybyli po mnie odpowiednio wcześniej, jako ekipa transportowa, wspierająca i pożegnalna. W końcu 66-letni ojciec i kolega nie codziennie wyrusza w nieznaną i to tak daleko. Odległość z Łodzi do Warszawy, mimo jazdy autostradą, zmniejsza się jakoś wyjątkowo wolno. Za to napięcie wzrasta z każdym kilometrem. Prowadzimy rozmowy o wszystkim i o niczym. Atmosfera lekkiej niepewności udziela się całej ekipie. Słowa i wymuszone żarty to tylko zasłona dymna. W mojej głowie na razie jest ogólny mętlik. Czy dobrze zarezerwowałem bilet, czy prawidłowo opłaciłem bagaż, czy dopilnowałem wymiarów paczek, czy na pewno zapakowałem klucz do montażu pedałów? Czego nie zabrałem? W zasadzie jestem bardzo skrupulatny w przygotowaniach do każdej podróży, a szczególnie do tej. Ale mogło coś mi umknąć. Tam już nie będzie żadnej pomocy. Będę tylko ja i rower.

Na lotnisko Chopina przyjeżdżamy z dużym zapasem czasowym. Najpierw zawozimy kartony do nadania ich jako bagaż. Rower i inne elementy zabezpieczyłem w pozycji pionowej, umieszczając po obu stronach pakunku odpowiednie strzałki. Okazuje się, że w miejscu nadawania bagaży ponadwymiarowych nie jest możliwe odprawienie kartonu w pozycji stojącej! Do tego pudło pokona w pozycji leżącej całą jedną kondygnację na pasie transportowym zupełnie bezpańsko. Z bólem i niepokojem, co się jeszcze może zdarzyć podczas transportu do i z samolotu, rozstałem się z pakunkami. Procedura została zakończona.

Zostałem tylko z dokumentami i telefonem. Dla odzyskania spokoju poszliśmy na kawę. Jednak spokój tak do końca już nie wrócił.

Zostałem przyzwoicie pożegnany i rozstaliśmy się na dobre. WITAJ PRZYGODO!

Portugalska linia lotnicza sprawnie przemieściła mnie i rower do Lizbony. Oczekiwanie na kartony z rowerem i wyposażeniem na dwumiesięczną podróż trwało jednak niepokojąco długo. A na zewnątrz już mrok. Może kartony poszły do innego samolotu? Muszę dojechać około 24 kilometry na pierwszy kemping. Niby niewiele, ale jeśli recepcja kempingu nie pracuje tak długo, to co będzie z noclegiem? Nie wiem, jakie panują tu zwyczaje. Nie znam Lizbony, a czytanie moich wskazówek dojazdowych po ciemku podczas jazdy nie będzie takie łatwe.

Myśli krążyły w mojej osobistej głowie i wcale nie były uporządkowane. Co zrobić, jeśli paczki nie przyleciały ze mną? Jak poszukiwać zagubionej przesyłki w prawie obcych dla mnie językach, gdzie nocować i jak przetrwać, skoro wszystkie ubrania, kosmetyki i inne potrzebne na co dzień rzeczy są w kartonach? Po dwóch godzinach nerwowego oczekiwania przy taśmie transportowej, gdzie zostałem już tylko ja, samotny podróżnik z malutkim plecaczkiem, z wielkiego ciemnego otworu wyłoniły się moje kartony. Uff!

Teraz, nagle, wkradł się nie wiadomo skąd niepokojący pośpiech, chociaż go wcale nie zapraszałem. Kartony wywozłem wózkem bagażowym na zewnątrz budynku lotniska, w miejsce, gdzie nikomu nie powinien przeszkadzać montaż roweru. Ciekawe, czy rower nie został uszkodzony podczas czynności załadunkowo-rozładunkowych. Zabezpieczyłem wszystko dobrze, ale na przewożenie roweru w pionie. Na szczęście wszystko jest w porządku. Mocuję kierownicę, przednie koło, hamulec, błotnik, tylny bagażnik, skręcam pedały. W domu taki próbny montaż zajmował mi około 40 minut. Teraz warunki są inne. Zakładam sakwy na bagażnik, na wierzchu sakw linkami żeglarskimi mocuję namiot. Worek z karimatą, śpiworem i kocem idzie na przedni bagażnik. Pracownik sprzątający teren lotniska pozwala mi zostawić kartony na miejscu montażu. Nie muszę szukać kontenera na duże odpady albo drzeć je na małe kawałki. Zostawiam klucz do skręcenia pedałów w widocznym miejscu, jako nagrodę dla znalazcy. Nie zamierzam już wracać samolotem, więc nie będzie więcej potrzebny.

Mój termometr na ekranie licznika wskazuje 15 stopni Celsjusza. Ubieram się trochę cieplej i startuję. Trasę kilkakrotnie oglądałem w domowym komputerze, ale wirtualny przejazd mogłem odbyć w Google Maps tylko w porze dziennej. Po ciemku wygląda całkiem inaczej. Trudno, innego wyjścia nie ma. Jest wtorek, godzina 23 i ruch nie jest aż taki duży. Jadę brzegiem Tagu na zachód. Mam jednocześnie uczucie niepokoju i zadowolenia. Zadowolenia, bo po tylu latach planowania i ponad rocznych przygotowaniach, marzenie zaczyna się realizować. Niepokój, bo zostałem teraz sam i w razie potrzeby mogę liczyć tylko na siebie.

Przyspieszyłem, ponieważ nocne wrażenia widokowe mogłem sobie odpuścić, ale wraz z większą prędkością zrobiło się też chłodniej. Skończyła się jazda przybrzeżna, bo mój kemping o nazwie Lisboa znajduje się w głębi lądu. Znalazłem się teraz na drodze szybszego ruchu. Jest na niej kilka pasów i nie wszystkie są dobrze oświetlone, a moje rowerowe światełka mogą być niewystarczające dla szybko jadących samochodów. Mam również wątpliwości, czy mogę poruszać się tą drogą. Z duszą na ramieniu docieram do celu. Na szczęście recepcja kempingu jest całodobowa i pracuje. Załatwiam dość zgrabnie formalności i po ciemku rozkładam namiot. Latarnie dają za mało światła. Namiot dla mnie nie jest jednak czymś obcym i jego postawienie nawet bez oświetlenia to żaden problem. Jeszcze mocuję rower do drzewa. Przejechałem 24 kilometry. Kładę się bez większych ceregieli tak jak stoję, w ubraniu i w tym momencie zaczyna padać deszcz. Fajne przywitanie. Jest godzina 02.20. Zasypiam natychmiast na portugalskiej ziemi, zapakowany po uszy w śpiworze.

Dzień drugi, 11 maja

Onde a terra se acaba

W nocy deszcz budził mnie kilkakrotnie. Namiot mam zupełnie nowiuśki, ale na wszelki wypadek po każdym przebudzeniu wykonywałem szybki przegląd przeciekowy. Namiot dostałem w prezencie pożegnalnym od sympatycznych współpracowników i współuczestników pracowniczej niedoli w momencie przejścia w upragniony stan emerytalny. Typ i rodzaj wybrałem sam. Sprawa była prosta. Przez wiele lat używałem dwuosobowego namiotu czeskiej firmy Hannah. Świetnie się sprawdził podczas wielu spływów rzekami i kilkudniowych wypraw rowerowych po kraju. Miał już prawo uczciwie się zużyć. Zrobił to trochę szybciej niż ja. A może i jednakowo. Jednak teraz namiot jest całkiem nowy, a ja wręcz przeciwnie. Temperatura w moim jednopokojowym, przenośnym lokum, nad ranem wynosi 18 stopni. Chyba już czas wstać i ruszać w drogę. Specjalnie wybrałem właśnie ten kemping, usytuowany w pobliżu sklepu Decathlon, bo tylko tu mogę nabyć gwintowany kartusz z gazem. Podczas wyprawy będę gotował wodę na herbatę i kawę oraz wykonywał proste posiłki. Taki kartusz z gwintem jest najwygodniejszy dla mnie, ponieważ można go wielokrotnie rozłączać z palnikiem. Częściej spotykane są kartusze przekłuwane, ale one muszą pozostać połączone z palnikiem, lampą lub ogrzewalnikiem aż do wyczerpania gazu. Taki zestaw nie jest zbyt łatwy do umieszczenia w sakwach, gdzie każdy centymetr sześciennej jest na wagę złota. Przewożenie gazu w samolocie jest oczywiście zabronione, więc pozostał mi tylko zakup na miejscu. Nabyłem pojemnik o ciężarze 230 gramów, bo jest niewielki i wystarcza na kilka tygodni. Zaopatrzyłem się jeszcze w wodę mineralną. Mogę zabrać na rower razem trzy litry. Do dwóch bidonów wlewam półtora litra, a cała półtoralitrowa butelka jedzie sobie w tylnej, specjalnej kieszeni w sakwie.

Wróciłem na kemping i zjadłem moje pierwsze podróźnicze śniadanie złożone z jednej z kilku zabranych z kraju owsianek, które zalewa się tylko wodą. Tuż potem zaczął padać deszcz. A byłem już gotów do startu. Przez chwilę zastanawiałem się, czy zaraz przestanie, czy też rozpada się na dobre. Nie przyleciałem tylu kilometrów po to, aby

gnić w namiocie. Tym bardziej, że temperatura powietrza nie wzrosła ani o jeden stopień. Nie ma sensu tu marznąć. Czas podjąć męską decyzję. Po raz pierwszy zwołałem jednoosobową naradę. Wielkiej dyskusji nie było, chociaż odzywały się różne głosy za i przeciw. Wygrały te „za”. Spakowałem szybko mokry namiot i umocowałem bagaże na rowerze. A może Lizbona obraziła się na mnie? Co to za turysta się tu napatoczył? Przylatuje niebem jakiś taki gość, niezły kawał drogi i to w dodatku z rowerem, jedzie sobie po ciemku przez miasto, nic nie ogląda, bo prawie nic nie widać, idzie zaraz spać i rano chce już zmykać? Może go jakoś zatrzymam, aby sprawę dogłębnie przemyślał – myśli sobie Lizbona. No i cóż ja biedny mogłem zrobić? Obiecałem poprawę i że jeszcze na pewno tu wrócę. Może w innych warunkach, bez roweru i jak będzie trochę cieplej niż teraz. Wówczas dokładnie zwiedzę to niewątpliwie piękne i ciekawe miasto. Czekam na jakąś reakcję i... nic. A z drugiej strony, skąd taka Lizbona może wiedzieć, że przybył jakiś dziwny i nie pierwszej młodości turysta z Polski. Jest całkiem możliwe, że takie rozważanie może nie mieć końca. Czas trzeźwo ocenić sytuację. Z góry nadal kapie i końca nie widać. Na razie zostałem uziemiony i jestem w pozycji wyczekującej. Co robić? Jestem gotowy do jazdy, a tu ani do przodu, ani do tyłu. Jazda w prysznicu i do tego mocno schłodzonym to nic przyjemnego. Powrót na mokre już teraz całkowicie pole namiotowe również nie wchodzi w rachubę. Postanowiłem przeczekać. Ktoś musi przecież pęknąć i najlepiej, abym to nie był ja! Pod daszkiem przy recepcji zapuszczam cierpliwie korzenie. Przy takim deszczu zdaje się to bardzo prawdopodobne. Przebieram więc nogami i czekam aż skończą się w chmurach zapasy wody, grzmotów i błyskawic. Kiedyś przecież MUSI zabraknąć wody. I w końcu zabrakło. Ale jest już godzina 12.40.

Dziś mam w planie dotarcie do najbardziej wysuniętego na zachód punktu lądowego w Europie, czyli przylądka Cabo da Roca. Temperatura spadła do 14 stopni. Dlaczego? Jest przecież maj! Nie liczyłem co prawda na wiele, ale teraz to chyba lekka przesada. Przecież jestem na szerokości geograficznej południowej Grecji. W kraju pewnie odbywają się majówki na świeżym powietrzu i to do późnej nocy. A tu panuje wszechobecna zimnica i wodnica. Wsiadam na rower, który chyba też już chce się rozgrzać. Wracam nad rzekę Tag, która

tu, w Lizbonie, właśnie postanowiła wpaść do Atlantyku. Początkowo jadę łatwą drogą wzdłuż brzegu. Woda pryska spod kół. Droga jest dwupasmowa. Zerkam na lewo i nie wiem, czy jeszcze jadę nad rzeką, czy już nad Atlantykiem. Ale jaka to teraz różnica. Muszę się skupić na drodze. Żal mi trochę roweru. Też przecież moknie. Mapnik umocowany na kierownicy ma własną pelerynkę, która jest umieszczona od spodu w kieszonce sprytnie zapiętej ekspresem. Pelerynka posiada na brzegach gumkę, która zaciska się dookoła mapnika i teraz nic nie zmoknie. Byłoby szkoda, aby woda dostała się do wnętrza. Mam tu przecież wszystkie dokumenty, telefon, kalendarz z adresami i numerami telefonów (gdyby zginął mi lub zniszczył się telefon), ładowarkę, powerbank, MP3 i słuchawki, okulary i jeszcze wiele innych ważnych rzeczy. Pelerynka ma jedną wadę. Nie jest przezroczysta. Nie widzę więc trasy, która znajdowała się pod przezroczystym plastikiem na wierzchu mapnika. Jadę teraz na czuja. Łatwa dotąd droga musiała się kiedyś skończyć i właśnie się skończyła. Aby dotrzeć do celu skręcam w prawo. Deszcz nie odpuszcza. Muszę się zatrzymać, aby zerknąć na opis dalszej trasy i jakoś ją zapamiętać. Rozpoczął się długotrwały i mozolny podjazd. Przyszła chwila, aby zacząć przyzwyczajać nogi do cięższej pracy niż na moich dotychczasowych nizinnych treningach. Na razie podjazd jest łagodny. Pedaluję nie za mocno, by baterie nie wysiadły mi na samym początku. Systematycznie wspinam się pod górę. Deszcz wreszcie przestał padać. Hurra! Zdejmuję lekką kurtkę przeciwdeszczową, ale trzymam ją na podorzędziu, bo chmury wyraźnie zakotwiczyły nad Lizboną. Teraz jest dużo lepiej i wygodniej. Jadę pod górę przez trzy godziny. Ostatnia część trasy przebiega przez Sintra-Cascais Natural Park. Teraz następuje przyjemny i szybki zjazd. W końcu jest i mój cel! Pierwszy z pięciu wymarzonych podczas całej trasy punktów – przylądek Cabo da Roca. Miejsce, dokąd zaprowadziła mnie droga i gdzie przyjeżdżają turyści z całego świata znajduje się na wysokości 140 metrów n.p.m. Ta wiadomość prawie ścięła mnie z nóg. Wypruвам z siebie flaki przez ponad trzy godziny, a tu tylko 140 metrów? A co będzie z Pirenejami i Alpami? Zimny i gorący pot oblał mnie nagle i niespodziewanie. Krótka chwila refleksji zakończyła się przywołaniem samego siebie do porządku. Masz chłopie plan to pozostało go tylko realizować. No

i to wszystko, no i koniec, i do roboty. Spoglądam w dół. Klify mają nawet 100 metrów. To tu w 1755 roku doszło do silnego trzęsienia ziemi. Wywołana nim fala tsunami miała 50 metrów wysokości! Jakiś nie umiem sobie tego wyobrazić, tak samo jak żeglarza lub rybaka na oceanie w tym momencie.

Portugalski poeta Luís de Camões napisał: „Aqui... onde a terra se acaba e o mar começa...”. Napis ten wyryty jest na obelisku stojącym na skale i określa znakomicie to miejsce: „gdzie ląd się kończy, a morze zaczyna”. Stąd do Ameryki są 5593 kilometry. Ja planuję przejechać około 5000 kilometrów, czyli prawie do Ameryki! To moje pierwsze odkrycie! Widoczność jest znakomita i wydaje mi się, że w oddali widzę jakiś nieznany dotąd ląd. A może to jakaś fata i morgana?

Od tego punktu rozpoczynam powrót do domu, czyli na wschód. Jak to ładnie brzmi. Do domu. Oj! Chyba to trochę potrwa. Na razie on, ten powrót, nie jest taki łatwy. Z górki jechało się rewelacyjnie i szybko. Nie zwróciłem uwagi na pochylenie tego zjazdu. Teraz widzę i czuję to ewidentnie. Mimo stawania na pedałach, na bardziej stromych odcinkach nie dają rady. Zgrzałem się jak jajecznicza na patelni. Po zejściu z roweru okazało się, że nie mogę nawet ponownie wystartować. Mijające mnie samochody zmieniają biegi na dwójkę. Ja już dawno zmieniłem moje wszystkie biegi i... nic. Siła ciężkości pchała mnie w innym, nieuzgodnionym ze mną kierunku. W kraju nigdy się to nie zdarzyło. Nie jeździłem po takich górkach. Uczę się więc, jak pchać rower pod stromą górkę. Razem to około 46 kilogramów ciężaru, no i siebie też jakoś muszę wturlać. Trzeba przybrać odpowiedni kąt pochylenia ciała w kierunku roweru, nie uderzać się za często w pedały i ręce trzymać tak, aby rower pozostał jak najdalej od prowadzącego. W tej sytuacji przydałaby się prawa ręka dużo dłuższa od lewej, ponieważ idę z lewej strony roweru. Ale chyba mam dwie ręce o tej samej długości i wynikająca z tego niewygodą jest strasznie męcząca. To niewątpliwie nie jest podstawowa pozycja rowerzysty, ale zastosowanie jej pozwala na przemieszczanie się wraz z rowerem w pożądanym kierunku. Do tego zrobiło się ponownie zimno, wieje jak diabli i znów pada deszcz. Lizbona nie odpuszcza. Zakładam reklamówki na buty i mocnymi gumkami mocuję je na nieprzemakalnych

spodniach. Adidasy już się dobrze przesuszyły i nie chcę doprowadzić ich do ponownego zmoczenia. Zwykle reklamówki po zakupach spełniają doskonale swoją nową, przeciwdeszczową rolę. Chyba śmiesznie to wygląda, ale działa! Adidasy mam tylko jedno, a jutro trzeba jechać dalej. Cały ponownie jestem przeciwdeszczowy. Na wierzchu mapnika, w przeźroczystej, biurowej koszulce mam przymocowane recepturkami wskazówki dojazdowe. Przecież muszę jakoś dojechać do kempingu. Od śniadania nic nie jadłem i funkcjonuję tylko na wodzie mineralnej, gumie do żucia i cukierkach. Chyba na tych dopalaczach daleko nie dojadę. Mam nadzieję, że na terenie kempingu będzie chociaż jakiś bar. Mam kilka rezerwowych liofilizatów, ale one są przecież REZERWOWE. Po pokonaniu tego dnia 60 kilometrów dotarłem zziębnięty, przemoczony, głodny i zmęczony na upatrzoną wcześniej pozycję. Zjazd ze zdobytej wcześniej góry trwał tylko 20 minut. Tyle męczarni, a tylko trochę przyjemności. Taka to dziwna sprawiedliwość. Ale mam i dobre wiadomości. Na kempingu Orbitur Guincho jest bar, prysznic z ciepłą wodą, prąd i Wi-Fi. Żyć, nie umierać! Zamówiłem sobie w barze zestaw jedzeniowy za 10 euro. A co się będę czaił! Gorąca zupa, dwa kotlety, frytki, herbata, deser i PIWO. Odżyłem chyba dopiero po tym piwie. Po 22.30 kończę sprawozdanie dla punktu dowodzenia, czyli mojej Ewy. Ewa posiada na biurku w domu mapę Europy z zaplanowaną trasą, kopię moich wskazówek dojazdowych i wszelkie inne informacje związane z podróżą. Na komputerze będzie gromadzić wiadomości, zdjęcia i filmy przesyłane przeze mnie. Zmęczonemu, ale zadowolonemu ciału pozwalam odpocząć do rana.

Dzień trzeci, 12 maja

Belém i Vasco da Gama

Niestety, w nocy znów pada deszcz. Rano pada nadal, ale już z przerwami. Czekam na moment, kiedy skończy się podlewanie Lizbony, abym mógł zwinąć namiot. Tymczasem robię sobie ciepłą herbatkę i pożywną owsiankę. Do słodzenia mam słodzik, bo zajmuje mało miejsca. Co prawda trochę dziwnie smakuje, ale w porównaniu z kilogramem cukru jest o niebo lżejszy. Dwie minitabletki zastępują łyżeczkę cukru. Mój zapas 300 tabletek waży zaledwie 15 gramów. Do gotowania mam kocher składający się z dwóch garnków i patelni. Są wykonane z cienkiej stali nierdzewnej i mają pomiedziowane spody. Powoduje to szybsze przyswajanie ciepła, czyli mniejsze zużycie gazu. Do kompletu należą jeszcze dwie pokrywki i plastikowy kubek. W kocherze upchałem również zapalniczkę, małą metalową łyżeczkę, gąbkę i płyn do zmywania, sól, pieprz, trochę oliwy, zioła i sok z cytryny. W materiałowym worku z kocherem podróżują jeszcze plastikowe, niby-survivalowe: nóż, widelec i łyżka owinięte niewielką ściereczką. Ta ściereczka służy mi za obrusik i do wycierania. Zawsze trochę przyjemniej. Cały ten majdanik waży 1,15 kilograma. Mój podstawowy kubek też jest ze stali nierdzewnej, ma składany, jak na zawiasie, uchwyt, taki dwuuszczkowy i pojemność ćwierć litra. Pozostałe wyposażenie mojej kuchni to palnik i gaz, plastikowa deska do krojenia, płaski plastikowy talerz, nóż typu finka, dwa plastikowe, zamykane pojemniki, w których umieściłem cztery torebki ryżu i trzy owsianki, kawę rozpuszczalną 150 gramów i herbatę w liczbie 80 saszetek. Trzy porcje żywności liofilizowanej, kilka batonów energetycznych, cukierki i guma do żucia zamykają moje kuchenne wyposażenie. Oczywiście wszystko przed wyjazdem skrupulatnie zważyłem i wykonałem spis zabranych ze sobą rzeczy. Wyszło mi 220 pozycji.

Przed południem postanowiłem zakończyć tę nierówną walkę z chwiejną pogodą, spakowałem w namiocie wszystko do dwóch worków i do sakw, ubrałem się w kurtkę i spodnie przeciwdeszczowe. Zwinąłem znów mokry namiot i wystartowałem. Deszcz nie mógł się zdecydować. Padać, czy nie. Po drodze ćwiczyłem więc co kilkanaście minut rozbieranie i ubieranie przeciwdeszczówek. Tak nazwałem

komplet składający się z lekkiej kurtki antywietrznej i antywodnej z kapturem, wkładanej przez głowę, spodni, też antywodnych ze ściągaczami na końcu nogawek, reklamówek zakładanych na buty i przytrzymywanych teraz przez sprężyste taśmy odbłaskowe oraz nakładki na mapnik umocowany na kierownicy. Pewnie znów dziwnie wyglądałem w reklamówkach na butach, ale przy niskiej temperaturze przemoczone nogi mogły spowodować u mnie takie kataklizmy zdrowotne jak kichanko, smarkanko i może – nie daj Boże – gorączkę, czyli w rezultacie przeziębionko, a na to nie mogłem sobie pozwolić pod żadnym pozorem.

Na pocieszenie słońce najpierw nieśmiało, ale z czasem coraz mocniej grzało. Była duża szansa na osuszenie wszystkiego, co było mokre. Mokre rzeczy umieściłem pod linkami trzymającymi namiot, czyli na tylnym bagażniku. Słońce i pęd powietrza zadziałały jak atomowa suszarka. To rozwiązanie okazało się zupełnie słuszne i dające błyskawiczny efekt.

Zbliżałem się do Belém. W języku portugalskim to Betlejem. Dzielnica Lizbony w zasadzie nazywa się Santa Maria de Belém, ale potocznie używa się tylko skrótu. Belém to historia rozwoju naszej cywilizacji. Tu znajdował się kiedyś największy port Portugalii. W 1497 roku stąd wyruszyła wyprawa Vasco da Gamy. Liczyła cztery okręty i około 160 ludzi. Jej rezultatem było odkrycie drogi morskiej do Indii, a celem zdobycie drogocennych wówczas przypraw, głównie pieprzu. Teraz można było już pieprzyć do woli. Po tym odkryciu w Belém zbudowano wspaniały klasztor Hieronimitów, w którym został pochowany, oczywiście już po zakończeniu swojego życia, Vasco da Gama i wspomniany wcześniej wieszcz Luís de Camões. Był to czas wielkich odkryć geograficznych. Pięć lat wcześniej Hiszpan, Krzysztof Kolumb dopłynął do Indii, które później okazały się jednak Ameryką. Jego wyprawa miała trzy okręty i według różnych źródeł od 90 do 120 ludzi. Nazwa „okręty” nie daje całkowicie obrazu dzielności odkrywców. Nie zdajemy sobie sprawy, że okręt Kolumba miał około 21-22 metrów długości, a dwa pozostałe w jego flocie odpowiednio około 18-20 metrów i prawdopodobnie 17. Pierwsze przeplnięcie Atlantyku trwało ponad dwa miesiące. Powrót był dużo trudniejszy. Flagowa Santa Maria pozostała na karaibskiej mieliźnie

na zawsze. Pozostałe dwa okręty po silnych sztormach na Atlantyku rozdzieliły się. Admirał Kolumb na sponiewieranym okręcie dopłynął właśnie do Belém, tu gdzie teraz jestem. Portugalczycy przyjęli go początkowo nieufnie a nawet wrogo. Rywalizacja Portugalii i Hiszpanii w odkryciach geograficznych była w tym czasie bardzo gorąca. Każdy chciał powiększać swoje królestwo i jego majątek. Złoto i przyprawy były niewiarygodnie pożądane. Teraz Belém straciło swoje portowe znaczenie, ale to z tego historycznego miejsca wystartuję w moją dalszą podróż.

Czas więc na opuszczenie Lizbony i przeprawę promem przez Tag do Porto Brandão. Samochodem przez Tag przejeżdża się mostem Vasco da Gamy, najdłuższym w Europie. Łącznie z wjazdami ma 17,2 kilometra długości. Ten most to brama Lizbony na Atlantyk i pamiątka na 500-lecie odkryć geograficznych. Jako rowerzysta nie znalazłem możliwości skorzystania z mostu. Przeprawiam promem z Belém około dwa kilometry na drugi brzeg. Koszt przeprawy wraz z rowerem to tylko 1,65 euro. Most z poziomu Tagu robi olbrzymie wrażenie. Prom jest spory i przewozi również samochody. Ilość dziennych kursów jest wystarczająca, startuje punktualnie o oznaczonych godzinach.

Ciężkie, ciemne chmury pozostały po prawidłowej stronie. Z niepokojem patrzę, czy nie mają ochoty mnie gonić. Zbliżamy się do drugiego brzegu Tagu, gdzie zostały tylko ślady po deszczu. W końcu słońce i ciepło. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Lizbona zachowała się w stosunku do mnie co najmniej dziwnie i zaborczo. Teraz dopiero czuję, że nareszcie jestem w ciepłym kraju. Zacznę z radością wygrzewać moje trochę nadziębione kości.

Na kempingu Costa de Caparica byłem już przed godziną 16. Trasa okazała się bardzo łatwa i nie wymagała większego wysiłku. Dotąd koszty kempingów wynosiły około 12-13 euro za nocleg. Pośpiesznie rozbiłem mokry namiot i rozwiesiłem na kempingowych sznurach wszystkie moje mokraki. Wybrałem sobie miejsce blisko sanitariatów, bo ciepła woda i prysznic. Co chwilę spoglądam w niebo, ale scenariusz na szczęście się nie zmienia. Na północy chmury wiszą jak zakotwiczone, a u mnie jest życiodajne słońeczko. Ono uśmiecha się do mnie, a ja do niego. Czuję, że jest między nami całkowite

porozumienie. Ono sobie spokojnie świeci i grzeje, a ja mu w tych zajęciach po prostu nie przeszkadzam.

Pożywiłem się liofilizatem. Chyba muszę tu wyjaśnić, że liofilizat to nic strasznego, tylko nazwę ma okropną. To gotowy posiłek, z którego w specjalnych procesach wyciągnięto wodę z i zapakowano w szczelną torebkę. Jest przez to lekki, ale zajmuje niestety trochę miejsca. Zakupiłem tylko cztery takie opakowania. Kosztują tyle, co dobry obiad w restauracji. Aby zabrać się do konsumpcji, trzeba włożyć do tej torebki wrzątek, trochę odczekać i gotowe. Na pewno można się najęść i smak nie jest najgorszy. Dostarczyłem dużo energii mojemu organizmowi.

Skorzystałem z prysznica i zrobiłem szybkie pranie korzystając z ciepłej wody i słońca. Do prania mam dwie tubki specjalnego żelu. Łyżeczka żelu na wiadro wody! Rewelacja! Cieszę się, że go niespodziewanie i odpowiednio wcześniej odkryłem. Powinien wystarczyć na wiele praniek. Wszystko, co miało się suszyć, suszy się znakomicie. Sprawdziłem, czy spinacze dobrze trzymają, zamknąłem namiot na minikłódeczkę i ruszyłem na podbój miasta zbudowanego ciekawie między klifem a brzegiem oceanu.

Costa da Caparica to miasto turystyczne z pięknymi plażami. Na głównej ulicy między dwoma jezdniami rosną wysokie palmy i gwarantują, że teraz będzie już tylko cieplej. Ruchu dużego nie ma. Jestem wyraźnie przed sezonem. Turystów jest niewiele, a z rowerowych chyba tylko ja. Dla mnie to dobrze, bo muszę się powoli zaaklimatyzować i też oswoić z moją sytuacją. Powoli przechodzi mi początkowy szok. Wszystkie czynności dopiero muszą się poukładać. Wysiłek dawkuję ostrożnie, dzienny rytm wyprawy muszę dostosować do aktualnych warunków.

Zaplanowałem sobie pokonywanie 500 kilometrów tygodniowo. Czyli tylko 10 tygodni i będę w domu. Proste! Trasę mam podzieloną na 57 dziennych odcinków. Odcinki mają różne długości. Będę się trzymał tego planu. Plan określa jeszcze liczbę dni jazdy w tygodniu. Przez pięć dni powinienem przejechać po 100 kilometrów dziennie i mieć dwa dni odpoczynku. Gdyby z jakiegoś powodu nie udało się wykonać planu, to w rezerwie mam jeszcze sobotę. Niby racjonalnie, ale zobaczymy, co na to życiowa rzeczywistość.

W mieście jest ulica imieniem kolarza Joaquina Agostinho, sześciokrotnego mistrza Portugalii, zwycięzcy czterech etapów Tour de France. Co prawda nie jestem kolarzem i z nikim się nie ścigam, ale ja też jadę na rowerze. Myślę, że nie przypadkowo odkryłem tablicę upamiętniającą kolarza. Przyjąłem to za dobry znak dla mojej wyprawy.

Dziś przejechałem tylko 40 kilometrów, ale odciąłem się od zima i deszczu, wykonałem pierwsze pranie, mokre rzeczy zostały wysuszone i uporządkowane. Moje osobiste baterie są w pełni naładowane i jestem gotów do pokonania pierwszego tysiąca kilometrów.



Lotnisko Humberto Delgado w Lizbonie



Cabo da Roca



Most 25 kwietnia nad Tagiem



Prom przez Tag z Belém do Porto Brandão